



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiesława Chełmińska-Rupiewicz

Wspomnienia z lat 1944-1945

Pierwszy dzień sierpnia 1944 roku był wielką tragedią dla mnie i mojej rodziny. Siostra moja, 18-letnia Hania w tym dniu została ciężko ranna od wybuchu granatu rzuconego przez niemieckiego żołnierza w grupę stojących w bramie ludzi. W krytycznym stanie została natychmiast zawieziona przez powstańców do najbliższego szpitala – Św. Łazarza przy ul. Leszno róg Karolkowej. Tam była natychmiast operowana (usunięcie odłamków z nóg i rak). Po operacji czuła się dobrze, była tylko unieruchomiona, więc mama codziennie ją odwiedzała.

Kilka dni później, 5 sierpnia, uprosiłam mamę, żeby mnie wzięła do siostry do szpitala. Szliśmy pod silnym ostrzałem przez różne dziury i bramy, aż wreszcie dotarliśmy z ul. Okopowej do ul. Leszno. Bałam się, ale też cieszyłam się, że zobaczę Hanię. Ona też bardzo się ucieszyła naszymi odwiedzinami. Prosiła, żeby ją zabrać do domu lub do schronu, bo w czasie strzelaniny wszyscy schodzą do piwnicy, a ona zostaje sama w separacie na I piętrze i bardzo się boi. Mama załatwiła z kimś z personelu szpitala, że zostanie zaniesiona do sutereny (schronu) na noszach. Wtedy nawet nie przypuszczałam, że ten dzień będzie ostatnim, w którym dane nam będzie wspólnie cieszyć się życiem. Wieczorem do szpitala wpadli wściekli Niemcy. Zaczęli wszystkich – kto tylko mógł utrzymać się na nogach – wyrzucać na teren przylegający do szpitala. Ja z mamą wyszłam prawie na końcu, bo było nam bardzo żal zostawiać Hanię – była tak przestraszona, zmartwiona i zapłakana, że ją zostawiamy taką bezradną na noszach. Nam też łzy leciały z oczu, ale pocieszyliśmy Hanię, że zaraz jak tylko będzie można wrócimy do niej.

Dołączyliśmy do dużej grupy ludzi stojących pod murem budynku szpitala. Panowało wielkie zamieszanie, byliśmy zdenerwowani i zaniepokojeni, bo nikt nie wiedział na co czekamy, a było już ciemno. Jedni mówili, że sprawdzają dowody tożsamości, inni że wypuszczają z drugiej strony budynku do domu. Bardzo się martwiłam, bo mama nie miała przy sobie żadnych papierów. Ja też, chociaż miałam już 13 lat, nigdy nic nie nosiłam – cały nasz dobytek i dowody zostały w domu. Jakaś pani uspokoiła nas, że oni szukają powstańców, a nam nic nie zrobią. Trochę odetchnęłam, ale nie na długo. W pewnej chwili tuż koło mnie pilnujący nas Niemcy zdjęli karabiny z ramion i zaczęli strzelać do chorych i rannych ludzi leżących na noszach w pomieszczeniach kuchni. Celowali do nich przez okna sutereny. Patrząc na to rozplakałam się, gdyż Hania została w takiej sytuacji jak ci, do których strzelano.

Bardzo się wtedy bałam. Chciałam żyć, a z grupy stojącej na podwórzu wciąż ubywało ludzi. Hitlerowcy wprowadzali do budynku szpitala po kilka osób i nikt nie wiedział co się dalej z nimi dzieje. Długo się wyczekałyśmy, aż przyszła kolej na nas. Byłyśmy zmęczone stanem i patrzeniem na zbrodnie

Niemców, więc odetchnęliśmy z ulgą, że już wchodzimy do budynku szpitala. Tego co ujrzałam nie zapomnę do końca życia. Wewnątrz budynku Niemcy ustawili się po obu stronach klatki schodowej z karabinami gotowymi do strzału i kazali nam zejść na dół do pomieszczeń w suterenie. Kiedy zeszliśmy ujrzałam straszliwą masakrę, głucho strzały rozrywały mi serce, potok płynącej krwi i we wszystkich pomieszczeniach kuchni, magazynu i korytarzach stopy pozabijanych ludzi, którzy nie tak dawno stali razem z nami na podwórzu. Już wiedziałam, że nie ma odwrotu. Trzymając się kurczowo matczynej ręki chciałam zginąć razem z nią.. Było mi żal, że muszę zginąć, ale nawet nie miałam czasu pomyśleć o czymkolwiek.

Z chwilowej zadumy wyrwana zostałam stając przy drzwiach, gdzie Niemcy szykowali się do zabicia nas. Silnym uderzeniem karabinu rozerwali mój uścisk z mamą. Zaraz potem Niemiec popchnął moją matkę do przodu i zabił na moich oczach. Mnie kazał wejść wysoko na stos zamordowanych ludzi. Nie mogłam sobie poradzić, bo było to ponad metr wysokości. Nie wiem jak to się stało, że padło kilka strzałów, ale żaden mnie nie trafił. Błyskawicznie znalazłam się w samym środku wśród zabitych. Nie czekając na kolejne strzały przytuliłam się do trupów przykrywając jedną ręką głowę, a drugą trzymając w kieszeni, gdzie miałam w niej swoje największe skarby: książeczkę do nabożeństwa i święte obrazki, do których przywiązywałam wielką wagę. Leżąc tak zaczęłam się modlić, błagając Boga, żeby nie strzelili mi w głowę, bo to pewnie bardzo boli. Na moment skierowałam spojrzenie na drzwi i zobaczyłam, że karabin jest wycelowany w moją stronę. Zamknęłam oczy, a wtedy padł strzał. Kula ugodziła mnie w prawe ramię. Poczulałam w rękawie strumień gorącej krwi, ale nadal modliłam się, żeby nie w głowę. Ze strachu nawet nie czułam bólu. W takich chwilach nie myśli się o cierpieniach. Najgorsze nastąpiło później, kiedy po zabiciu jeszcze kilkunastu osób, które osunęły się na mnie, nie mogłam się poruszyć. Zresztą dla własnego bezpieczeństwa lepiej było tego nie próbować, bo Niemcy natychmiast by to zauważyli. Leżałam tak cichutko i bez ruchu myśląc, że może się uratuję albo mnie dobiją. Długo jeszcze mordowali ludzi. Na szczęście nikt nie upadł mi na głowę, a byłam już w rozpacz, że mogłabym się udusić, gdyby tak się stało.

O godzinie drugiej w nocy Niemcy sprowadzali jeszcze z pięter ludzi, którzy prawdopodobnie ukryli się na terenie szpitala. Tych też zabijali. Słyszałam płacz małego dziecka, proszącego Niemca, żeby nie zabijał mamusi i tatusia. Za chwilę padły strzały. Usłyszałam rozpacz dziecka. Krzyczało, że zabili mu tatusia, później mamusię... Dziecko zginęło na końcu.

Jeszcze do godziny trzeciej wprowadzali pojedyncze osoby i mordowali. Byłam zorientowana w czasie, ponieważ gdzieś w pobliżu był zegar, który wybijał godziny. Było już widno, kiedy usłyszałam syk i wszystko stanęło w płomieniach. Wtedy nie miałam nadziei na uratowanie. Wszystko się paliło, dym szczypał w oczy, w oknach żelazne kraty. Widok ten napawał mnie przerażeniem. Czułam, że buty na nogach już mi się palą, nie wiedziałam co robić... Jakiś mężczyzna błagał o wodę – był ciężko ranny. Zlew i kran były blisko, ale bałam się stanąć w obawie, że może ktoś jeszcze głębiej żyje, ale ten człowiek krzychał coraz głośniejsze, więc dałam mu wody. Zaraz gdzieś wyszedł z tego pomieszczenia. Przytuliłam się znowu do ciał zabitych, a w tym momencie podniósł głowę chłopiec w wieku 10-12 lat. Z uszu, nosa i ust leciała mu krew. Nie mógł nic powiedzieć, tylko patrzył na mnie błagalnym spojrzeniem, jakby prosił o pomoc, ale ja nie mogłam mu jej udzielić. Był cały przywalony ciałami, tylko głowa wystawała na wierzch. Sama będąc ranna nie wiedziałam jak mu pomóc. Wyciągnęłam rękę do niego i przytuliłam do jego głowy, a on zaraz umarł. Było mi bardzo smutno, że tak szybko kończy się życie niewinnego dziecka.

W tym pomieszczeniu byłam chyba jedyną żywą istotą, którą tylko cud mógł ocalić. W oknach żelazne kraty, w drzwiach ogień i biegający Niemcy dobijający konających. Kiedy wszystko ucichło postanowiłam przeskoczyć przez duży ogień w drzwiach. Wcześniej jednak, w obawie, że mogą mi się zapalić długie warkocze, pozdejmovalam zmarłym kobietom chustki z głów i założyłam na swoją. Następnie nie patrząc na nic przeskoczyłam przez ogień. Poślizgnęłam się na krzepnącej krwi i głową wpadałam w ogień. Szybko jak tylko mogłam zerwałam płonące chustki i w ten sposób się uratowałam. Byłam szczęśliwa, że nie spłonęłam żywcem. Nie mogłam jednak za bardzo się oddalić, bo usłyszałam strzały. Weszłam więc do najbliższego pokoju, gdzie tylko trochę się tliło. Drzwi do pomieszczenia zatarasowane były wózkami do przewożenia chorych, na którym leżał martwy mężczyzna. Przecisnęłam się przez szczelinę i bardzo przerażona weszłam pod duży stół. Los był dla mnie łaskawy, bo właśnie pod tym stołem schroniła się wcześniej jakaś kobieta. Przy bliższej rozmowie dowiedziałam się, że ta pani leżała w jednej separacie z moją siostrą. Była to pani Marysia Rykiel, kobieta w wieku około 22-24 lat. Bardzo się ucieszyłam, że jesteśmy obie razem. Łatwiej nam było szukać wyjścia z tego piekła. Marysia była chora na gruźlicę, ale nie została ranna. Niemiec popchnął ją do zabicia, ale tak mocno, że wpadła pod stół i to ją ocaliło. Oczywiście udawała, że jest martwa. Przeleżała do rana po czym wyszła do tego pokoju, w którym się nie paliło, właśnie tu pod stół, gdzie i ja się skierowałam.

Siedziałyśmy cichutko pod tym stołem, gdyż był już dzień i Niemcy latali po całym szpitalu dobijając żywych. Szukanie wyjścia w takich warunkach było niemożliwe – wszystko zawałone ciałami pomordowanych, wszędzie ogień i gryzący w oczy dym. A przy tym wielkie pragnienie. Żeby choć jeden łyk

wody... Trawiła mnie gorączka od postrzału w ramię, z rany wciąż sączyła się krew, a ból nie do zniesienia odbierał nadzieję na przeżycie.

Była już niedziela 6 sierpnia, a my wciąż nie miałyśmy odwagi ruszyć się gdzieś, choćby po łyk wody. Pod wieczór ucichło, Niemcy już się nie kręcili po szpitalu, więc zdecydowałyśmy się wyjść, zbadać którędy możemy się wydostać. Pokonałyśmy trudną drogę zanim dotarłyśmy do miejsca, w którym leżała zabita Hania. Miała usta otwarte jak do krzyku, a nogi podkurczone jakby chciała gdzieś uciekać z noszy. Widok ten wyczerpał moje nerwy. Byłam wstrząśnięta, załamalam się i powiedziałam Marysi, że wyjdę – niech mnie zabiją, bo nie mam już nikogo. Wprawdzie ojciec z drugą siostrą pozostali w domu, ale też nie miałam pewności czy żyją. Marysia przetłumaczyła mi, że może jakoś uda nam się wyjść.

Wody oczywiście nigdzie nie znalazłyśmy, a z kranów już nie leciała. Po drodze spotkałyśmy jakiegoś ocalałego człowieka. Był bez ubrania tylko przykryty kocem. Okazało się, że to Rosjanin, ale nie mógł się z nami dogadać, bo nie rozumiał po polsku, a my po rosyjsku. W tej sytuacji poszedł szukać wyjścia na własną rękę. My z Marysią dotarłyśmy do głównych drzwi wejściowych do szpitala od strony ulicy Leszno. Usłyszałyśmy głosy Niemców, więc schowałyśmy się za te drzwi. Dobrze, że były otwarte, bo nas zasłoniły. Jeden Niemiec wpadł do środka z zapaloną latarką i po drodze dobijał napotkanych ludzi. Przeszłyśmy tak całą noc do rana, ale wyjść nam się nie udało.

Następnego dnia przedostałyśmy się do jednego z pomieszczeń szpitalnych, gdzie zastałyśmy jakąś kobietę. Przygotowywała jakieś pakunki. Później okazało się, że pakowała kosztowności pozdziejowane zamordowanym. W pewnym momencie wyszła w poszukiwaniu kolejnych, ale została zastrzelona przez Niemca. Jeszcze przed zabiciem krzyczała, że tam jeszcze dwie żyją. Byłyśmy akurat w trakcie poszukiwania czegoś do zjedzenia, kiedy usłyszałyśmy stukot niemieckich butów. Marysia szybko położyła się w pokoju na ławce, a ja zdążyłam tylko usiąść i nakryć się kocem bardzo podziurawionym. Za chwilę w drzwiach stanął Niemiec i coś wołał w naszą stronę, nie mając pewności czy ktoś jest żywy. „Chodź, chodź, kom, kom, ja ciebie widzę” – krzyknął łamaną polszczyzną. Marysia leżąc była bezpieczna, a ja nie wiedziałam co zrobić. Niewielka dziurka w kocu ukazała mi żołnierza niemieckiego z karabinem wycelowanym prosto w moją stronę. Pomyślałam, że jak widzi to niech strzela, a ja i tak się nie ruszę. Stał jeszcze długo, ale kiedy w pokoju zaczęły palić się materace wycofał się, a my odetchnęłyśmy z ulgą.

Kobieta, którą zabił zostawiła na stoliku woreczek z biżuterią. Było tego bardzo dużo, ale my nawet nie dotknęłyśmy. Usiadłyśmy znów skulone pod stołem, spragnione wody i pożywienia. Wieczorem ponownie szukałyśmy wyjścia. Weszłyśmy nawet na pierwsze piętro, gdzie zauważyłam wannę pełną wody. Już się ucieszyłam, że nie umrę z pragnienia, ale okazała się brudna. Widocznie ktoś się w niej kąpał i już nie zdążył wypuścić. Chciałam napić się tej brudnej, ale Marysia mi nie pozwoliła, twierdząc, że jeszcze mogę się zatruć i będzie gorzej.

Byłyśmy już bardzo wyczerpane. Weszłyśmy do jakiegoś pokoju, chyba lekarza dyżurnego, gdzie znajdowały się dwa łóżka zasłane czystą pościelą. Postanowiłyśmy się położyć. Nie odpoczywałyśmy jednak długo, ponieważ zapaliło się linoleum na podłodze. Musiałyśmy iść do suterenu na stare miejsce, gdzie było znacznie bezpieczniej, a ogień już tylko się tlił.

Znów siedziałyśmy pod stołem rozmyślając, że może w nocy pójdziemy do drzwi głównych i może będą pędzili ludzi to się jakoś dołączymy do nich. Był już przecież 8 sierpnia, a my trzy dni bez kropli wody i jedzenia i z niepewnością każdej chwili. Noce też były okropne, bo o spaniu nie było co marzyć. Około południa Marysia znalazła łyżkę aluminiową i chciała nią wyłamać z okna żelazne kraty, ale powiedziałam jej, że to niemożliwe, a może sprowadzić Niemców i nas zabiją. Zaniechała, bo i tak nic z tego nie wyszło. Stojąc tak przy oknie z kratami zaczęłam się modlić przyciskając swoje skarby w kieszeni. Wiedziałam, że tylko cud może nas ocalić. Już nie myślałam o tym, żeby się czegoś napić albo zjeść, tylko żeby wyjść z tego piekła. W pewnym momencie za oknami usłyszałyśmy głosy ludzi, pędzonych tamtędy z ich domów. Zatrzymali ich akurat przy tych oknach, gdzie my byłyśmy. Błagałyśmy, żeby coś zrobili i nas uratowali, ale pan w ubraniu tramwajarza powiedział nam, że to jest niemożliwe, bo nie ma czym wyłamać krat, a obok stoją Niemcy i ich pilnują. Byłyśmy naprawdę zrozpaczone. Wtedy chyba naprawdę cud się stał, że pobiegłyśmy cichutko na schody na wysoki parter. Marysia dalej iść nie chciała, a ja wpadłam do bardzo wypalonego pokoju, bo tam zobaczyłam z boku małe drzwi. Chwyciłam za klamkę i drzwi się otworzyły. Kilka krętych schodków i już byłam z ludźmi, którzy czekali na przyniesienie drabiny, bo trzeba było pokonać wysoki mur. W tym czasie wróciłam po Marysię. Jak już biegłyśmy razem przez wypalony pokój Niemcy zaczęli do nas strzelać, ale szczęśliwie nie trafili.

Kiedy znalazłyśmy się na zewnątrz odczułyśmy ogromną ulgę. Byłyśmy uszczęśliwione, że już nie jesteśmy same. Tymczasem ludzie jak nas zobaczyli to mnie się przestraszyli – byłam cała pokrwawiona. Ten tramwajarz powiedział, że nie mogę w takim stanie wyjść, bo mnie Niemcy zaraz zabiją a umyć nie było czym. W jednej chwili pani z małym dzieckiem przy piersi wyjęła butelkę

herbaty i kazała mnie umyć. Powiedziała, że chociaż ta herbata jest jej bardzo potrzebna, to może dzięki niej uratuje mi życie. Tramwajarz wyjął chusteczkę z kieszeni, zmoczył herbatą i umył mnie.

Za jakiś czas była już drabina i wszyscy przeszliśmy po niej przez mur. Niemcy kazali nam trzymać ręce do góry. Ja nie byłam w stanie tego wykonać, gdyż prawe ramię bardzo mnie bolało. Trzymałam tylko jedną rękę w górze, a drugą ludzie mi zasłaniali. Ulitowali się nade mną, że wyszłam po tyłu przeżyciach.

Popędzono nas na drugą stronę ulicy i zatrzymano koło szpitala dziecięcego Karola Marii. Tam Niemcy grali sobie na patefonie, jedli, pili i głośno się śmiali. Staliśmy wszyscy i nie wiedzieliśmy na co czekamy. W pewnej chwili ze szpitala, w którym spędziłyśmy z Marysią trzy koszarne dni i trzy noce, wyszedł jakiś mężczyzna. Niemiec dopadł do niego i pewnie pytając skąd wyszedł wskazał ręką na ten budynek, po czym natychmiast go zastrzelił. Byłam pewna, że gdyby hitlerowcy się dowiedzieli, że my z Marysią też wyszłyśmy stamtąd, spotkał by nas ten sam los. Najwyraźniej było widać, że nie chcą mieć świadków takich potwornych zbrodni.

Po dłuższym postoju pognali nas na Dworzec Zachodni, skąd pojechaliśmy do Pruszkowa. Przed wyjazdem z Warszawy chciałam się napić wody, ponieważ padałam z wycieńczenia. Na stacji była pompa, ale nie miałam do czego nalać. Zobaczyłam otwarte drzwi do jakiegoś mieszkania, a w środku panią leżącą na kozetce. Poprosiłam ją o garnek, ale okazało się, że ta pani nie żyje, więc nic nie dostałam. Na szczęście ktoś się nade mną ulitował i dał mi picie.

Za jakiś czas dojechałyśmy z Marysią do Pruszkowa. Długo tam nie byliśmy, bo zaraz nas popędzili do podstawionych wagonów. Jeden żołnierz ciągnął mnie za zdrową rękę do transportu, a drugi za zranioną z powrotem, ale Marysia pomogła mi wsiąść i razem z nią pojechałam do Niemiec. I znów zaczęła się walka o życie. W nocy dotarliśmy do miejscowości Brieg (Brzeg) na Śląsku. Z dworca popędzili nas nad Odrę i zgromadzili pod gołym niebem na wybrukowanym, pustym placu ogrodzonym barierkami. Miejscowe kobiety przez całą noc rozdawały głodniałym ludziom pożywienie, bacząc aby nie zobaczyli tego pilnujący nas Niemcy. Ja dostałam gorącą kawę z mlekiem, bo o nic więcej nie miałam siły walczyć. Zaraz po jej wypiciu zasnęłam na tym twardym bruku. Nawet rześisty deszcz mnie nie obudził.

Rano niemieckie krzyki natychmiast poderwały mnie na równe nogi. Musiałam tylko wcześniej zdjąć płaszcz przemoczony do suchej nitki, który krępował mi ruchy. Za chwilę Niemcy z krzykiem pognali nas do kąpieli. Ucieszyłam się, że ubranie w parówce wyschnie i rzeczywiście wyszło. Potem była kolejna noc pod gołym niebem, rano znów do kąpieli i tak przez kilka dni bez żadnego jedzenia. Myślałam, że teraz to już naprawdę umrę z głodu.

Po kilku dniach popędzili nas do obozu przejściowego na przedmieściu Brzegu. Trudno to nazwać czymś w rodzaju pomieszczenia – znów goły beton i dach na filarach, a całość ogrodzona drutem i siatką. Kto silniejszy postarał się o garstkę słomy. Ja po tyłu przeżyciach i tułaczce nie byłam w stanie o cokolwiek walczyć, więc słomy z Marysią nie miałyśmy. Jej też było już wszystko jedno, tak była wyczerpana. Na drugi dzień w tym obozie dali nam zupy z kapustą i ziemniakami, która jednak nie dała się zjeść. Kapusta była okropnie skwaszona, a ziemniaki pół surowe, że aż trudno było pogryźć. I tak było za każdym razem. Takie jedzenie dostawaliśmy raz dziennie.

Minęło znów parę dni. W końcu przyszedł Niemiec z tłumaczem i kazał wystąpić rannym i chorym. Wszyscy się bali, tylko mnie namawiali. Moja rana była duża i już zieleniejąca, a do tego cała w nitkach z ubrania, więc było mi wszystko, czy umrę z zakażenia czy może mnie uśmiercą w inny sposób. Dałam się namówić i wyszłam pierwsza, a dopiero chwilę za mną zaczęły zgłaszać się następne osoby. Naprzeciwko obozu był uruchomiony punkt Czerwonego Krzyża, gdzie wszystkich opatrzyli na miejscu, a mnie kazali czekać. W międzyczasie pielęgniarki znosiły mi jedzenie – bułki z masłem i dżemem, mleko i owoce. Kiedy już wszystkim udzielili pomocy, pod wieczór odprowadzili mnie do szpitala w Brzegu. Tam zupełnie bez żadnego znieczulenia lekarz niemiecki w asyście jakiejś pani doktor usunął mi kulę. Z bólu straciłam przytomność. Obudziłam się następnego dnia nad ranem w baraku przy szpitalu, wśród samych cudzoziemców. Do kogo się nie zwróciłam każdy odpowiadał w innym języku – po angielsku, włosku, rosyjsku, a po polsku nikt nie mówił. Poczulałam się osamotniona i bardzo nieszczęśliwa.

Wieczorem odszukała mnie lekarka, która asystowała lekarzowi poprzedniego dnia. Wiedziała, że bardzo potrzebuję pomocy i pocieszenia. Była młoda, ładna i bardzo dobra. Przyniosła mi jedzenie, a potem długo rozmawiałyśmy opowiadając sobie nasze historie. Dowiedziałam się od niej, że jest Żydówką i też miała bardzo ciężkie przeżycia. Opowiadała, że jest sama, bo odłączyli ją od najbliższych i nie wie co się z nimi dzieje. Ona jako lekarz chirurg była Niemcom potrzebna, ale nie wiedziała co ją czeka jutro. Potrafiła mnie zrozumieć, a ja ją. Rozmawiając ze sobą płakałyśmy nad losem jaki nas spotkał. Dokąd byłam w szpitalu ona była moją pocieszycielką i żywicielką. Przyniosła mi nawet cukierki. Nie wiem czy ta pani doktor przeżyła wojnę, nie znałam nawet jej nazwiska ani imienia, wiem tylko, że chyba była z Warszawy.

Dowiedziałam się, że obóz, w którym została Marysia i zapoznana przez nas samotna pani Rozalia Milewska (też niedobitek, ale z Parku Sowińskiego), ma zostać zlikwidowany. Wymusiłam więc płaczem, żeby mnie tam odprowadzono ze szpitala. Pomogły mi dwie młode Niemki, obozowe pielęgniarki. Cieszyłam się bardzo, że jestem znów razem z bliskimi mi osobami, bo pani Rozalia była dla nas jak mama. Swoich sześcioro dzieci zostawiła w Warszawie na Pradze przy ul. Ks. Ziemowita i nic o nich nie wiedziałam, więc troska o nas trochę ją uspokajała.

Po kilku dniach wywieźli nas do obozu w Buchenwaldzie. Stało tam bardzo dużo baraków i były tłumy ludzi przywiezionych z Warszawy, z powstania. Szukałam swoich bliskich, ale na nikogo nie natrafiłam. Wieczorem spotkałam pana Mariana Dąbrowskiego z Młynarskiej – był to znajomy mojej rodziny z domu, w którym mieszkała moja babcia. Spotykaliśmy się kilka razy na opatrunkach – on był bardzo poparzony a ja ranna. Odradzał mi wciąż, żebym nie chodziła na opatrunki, ponieważ Niemcy rannych i chorych mordują zastrzykami. Zaprzestałam więc chodzenia, ale on musiał, bo był bardzo poparzony i właśnie dlatego nie przeżył – tam go uśmiercili. Dowiedziałam się od jego matki, już po wyzwoleniu, że byłam ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

W obozie był straszny rygor. Długo tam nie byłam, ale to co przeżyłam dokładnie utrzymało się w mojej pamięci. Zanim nas stamtąd wywieźli pognali nas do miasta Lepizig. To była istna defilada. Niemki nosiły jedzenie i rozdawały, inni rzucali z okien chleb. Było istne piekło, a Niemcy to filmowali. Nie chcąc, żeby mnie zdeptali, schowałam się w jakimś parku za drzewem i czekałam aż to się skończy i nas zaprowadzą do obozu. Zobaczyły mnie dwie kobiety i podeszły do mnie. Jedna zapytała po polsku, dlaczego się chowam, a nie łapię jedzenia tak jak inni, przecież to dają dobrzy ludzie, a że filmują to chcą pokazać, że Niemcy nie robią krzywdy tylko karmią zgłodniałych. Pokazałam im swoje bolące ramię zawinięte papierem toaletowym, bo takie właśnie opatrunki robili Polakom. Panie te były bardzo zdziwione, kiedy powiedziałam im, że to Niemcy do mnie strzelali. Po wysłuchaniu jedna z nich poszła po jedzenie, a druga została ze mną. Przyniosła całą siatkę – był tam chleb, ogórki, pomidory, cebula, margaryna, miód, dżem, wędlina. Osoba dała kanapki i herbatę. Najadłam się, ale siatki nie chciałam brać, bo i tak nie doniosła bym jej taki kawał drogi. Wtedy przyprowadziła dwie dziewczynki w moim wieku i poprosiła pilnujących nas żołnierzy, żeby mogły zanieść mi siatkę pod bramę obozu. Tamci zgodzili się. Dziewczynki szły zaraz za niemieckimi żołnierzami, ja za nimi, a tysiące ludzi za nami. Oczywiście z Marysią i panią Milewską odnalazłyśmy się dopiero w baraku. Niemcy cieszyli się, że mogli pokazać jaki mają gest, pozwolili mi wnieść to jedzenie i cały czas poklepywali mnie jak psa.

W tym obozie dawali nam jeden posiłek dziennie – brukiew z wodą, ale z głodu wszystko smakowało. Tylko metoda stosowana przy wydawaniu tego posiłku była ponad moje siły. Wszystkich z baraków wypędzali na olbrzymi pusty plac i kazali stać bez ruchu, a jak coś im się nie podobało, to bardzo bili skórzanymi pykami. Ja bojąc się, żeby mnie ktoś nie uraził w rękę, wycofywałam się wciąż na koniec, bo wszyscy się pchali. W pewnej chwili zobaczyłam idącego w moim kierunku Niemca okręcającego skórzaną pykę na palcu. Nie jestem w stanie opisać co się ze mną działo, kiedy już był koło mnie. Wziął mnie dwoma palcami za rękaw, wyciągnął z końca kolejki i prowadząc mnie przed sobą krzyczał z tyłu: „schnell!”. Szłam nie wiedząc co ze mną zrobi, bo zabijanie było tam na porządku dziennym. Już siebie widziałam martwą. Nie wiedziałam tylko po co mnie tak daleko prowadzi. W końcu doszłam do kotła. Tam kazał mi nalać brukwi, ale ja ze strachu nie mogłam wziąć do ręki miski. Kiedy zobaczył, że ręka mi drży i zupa mi się wylewa, kazał również nalać najbliższej osobie i polecił jej zanieść obie miski do baraku. Po przyjsciu do baraku upadłam na prycę i rozplakałam się, bo kilkanaście minut wcześniej byłam przekonana, że już żyć nie będę, gdyż Niemcy katowali za byle co. W Buchenwaldzie mówili nam, że prędzej czy później pójdziemy do pieca, ale ponieważ nie nadążają z paleniem ciał możemy się cieszyć, że jeszcze żyjemy. I tak z dnia na dzień czekaliśmy na śmierć albo na cud.

Przyszedł dzień, kiedy posegregowali nas. Ja, Marysia i pani Milewska zostałyśmy przygotowane do transportu. Zawieźli nas do Breslau i umieścili w szkole imienia Hindenburga w dwóch salach gimnastycznych. Były tam same matki z dziećmi. Wciąż nas straszili, że zginiemy, bo nie ma nam kto dawać jeść. Dostawaliśmy rano dwie kromeczki chleba, na obiad brukiew albo jarmuż, jeden liść z wodą bez kartofli tylko ciepły. Jadło się to, bo panował straszny głód. Z dnia na dzień właściwie czekało się na śmierć, a jednocześnie lubiłam się, że może przeżyję. W dzień wychodziłyśmy na podwórko ogrzać się na słońcu. Kilka razy dostałam jedzenie od dzieci niemieckich przechodzących obok w drodze do szkoły lub do domu. Były to przeważnie drugie śniadania – bułki z masłem i dżemem lub wędliną. Bardzo się wstydziłam brać te ofiarowane mi śniadania, ale ludzie mnie przekonywali, żebym się nie krepowała.

Pewnego dnia ogłoszono nam, że zostaniemy niebawem skierowani do pracy, bo nam się pewnie nudzi siedzieć bezczynnie. Powiedziano też, że kto ma polskie pieniądze może je wymienić na marki, jeżeli posiada kenkartę. Byłam dzieckiem, więc nie miałam kenkarty, a za to pieniądze i złotą obrączkę, które dostałam od mamy, gdy prowadzili nas na rozstrzelanie. Marysia też wyszła z domu bez dowodu i pani Milewska również. Na szczęście trafiła się kobieta, która na lewo wymieniła nam pieniądze.

Miałyśmy więc marki, za które można było kupić zupy w torebkach, kartofle w mundurkach z pastą śledziową i lody. Do miasta nie wolno nam było wychodzić, dopóki nie dostałyśmy litery „P”, ale jak tylko nam ją przyszyto, zaraz poszłyśmy na zakupy. Trafiły nam się tylko lody, więc kupiłam za 1 markę. Marysia z panią Milewską też wzięły po jednej takiej porcji. Miałyśmy ze sobą miski, do których nałożono nam całą górę lodów. Tyle nigdy w życiu na raz nie jadłam.

Następnego dnia przyniosłam zakupy w torebkach. Pomidorowa była najlepsza, bo z kaszą manną. Zebrałyśmy patyki i papiery i na ceglach w puszcze gotowałyśmy zupy, żeby się posilić. Gotowało się ukradkiem. Pani Milewska jakoś to sprytnie robiła, aż do momentu, kiedy katerycznie zostało zabronione. Bardziej obrotne panie znalazły restaurację, gdzie sprzedawali Polakom kartofle w mundurkach i pastę śledziową, więc poszłyśmy razem z nimi. Kupiłyśmy po dwie porcje, a każda z nich to dwa kartofle i łyżka pasty. Wracając z eskapady dostałam od jakiejś Niemki jedzenie. Zobaczywszy w moim ubraniu na ramieniu wyszarpaną dziurę od kuli, zdjęła też swojej córce żakiecik i założyła na mnie. Byłam ubrana, tylko boso, bo buty – nadpalone w szpitalu – całkiem się rozleciały.

Przyszedł dzień, kiedy oświadczono nam, że kobiety i dzieci o godzinie piątej rano mają iść do pracy. Obudzili nas o świcie i pognali na budowę domków jednorodzinnych. Nosiłam cegły, ubijałam cementowe podłogi i wykonywałam wszystko co mi Niemcy kazali robić.

Któregoś dnia wcześniej nas odprowadzono z pracy do obozu. Byłyśmy wtedy bardzo głodne, bo nie dostałyśmy obiadu (brukwi), więc poszłyśmy na kartofle w mundurkach i pastę śledziową. Ja oczywiście ubrana w żakiecik od Niemki, a literę „P” przykryłam klapą. Kelnerka myślała pewnie, że jestem Niemką – przyniosła wazę zupy, pełen talerz chleba i półmisek z drugim daniem: kotletem schabowym, kartoflami, buraczkami i jeszcze jakieś jarzynki i kompot. Bałam się jeść, ale wszystkie kobiety siedzące koło mnie namawiały, żeby zjeść, bo dziecku nic nie robią, a z żołądka też mi nie wyjmą. Zjadłam więc całą wazę dobrej zupy, całe drugie danie, a chleb schowałam do torby pani Milewskiej. Na koniec przysła kelnerka i zażądała za to kartki, bo tam były takie zwyczaje, a ja kartki nie miałam. Przyprowadziła jakiegoś pana, który powiedział mi, że zjadłam obiad bezprawnie. Tłumaczył po polsku, że takie obiady są na kartki i tylko dla Niemców. Kelnerka myślała, że ja jestem Niemką i tylko dlatego przyniosła mi jedzenie. Dodał, że ona teraz przyprowadzi policjanta i zostanie ukarana.

Boże, jak się bałam kary! Doskonale wiedziałam jak ona wygląda. Przecież bez powodu do mnie strzelali, zamordowali mi matkę i siostrę. Tyle wycierpiałam jako 13-letnia dziewczynka... Na myśl o tym rozplakałam się. Wśród moich towarzyszek niedoli nastąpiło wielkie poruszenie, a ja stałam bezradna nie mając pojęcia co teraz robić. O ucieczce nie było mowy. Płakałam chyba bardziej niż po zabiciu matki i siostry. Ale szczęście i w tym wypadku mi dopisało. Siedzący naprzeciwko i czekający na obiad Niemiec poprosił kelnerkę i tego pana tłumaczącego mi po polsku i powiedział, że nie zje obiadu, da natomiast za mnie kartki i zapłaci. I tak się stało – uniknęłam kary, a radość moja nie miała granic. Już więcej jednak nie chodziłam nigdzie na żadne posiłki, bo strach był większy niż głód.

Na budowie, gdzie pracowałam, dzieciom przysługiwała dłuższa przerwa w porze obiadowej. Posiłku wprawdzie nie było, ale można było odpocząć. Pracujące ze mną dzieci wypatrzyły kiedyś, że za budową kopią kartofle, więc chodziłyśmy zbierać te maleńkie, które zostawały w ziemi. Kilka dni miałyśmy raj, bo najadłyśmy się do syta. Z przydziału dostawałyśmy przecież tylko dwie kromki chleba rano i brukiew po powrocie z roboty, praktycznie więc przez cały dzień chodziłyśmy głodne.

Pewnego dnia, kiedy kopali już dosyć daleko, wzięłam torbę po cementie i poszłam w pole. Zaraz po mnie miała wyjść pani Milewska. Miałam już uzbierane pół torby, gdy nagle podeszła do mnie jakaś Niemka, odebrała ją i wysypała kartofelki, a następnie pognęła mnie przed sobą jeszcze dalej do mojego baraku, cały czas mówiąc coś czego wcale nie rozumiałam. W oczach miałam tylko strach i żal, że straciłam swój obiad. Tymczasem Niemka wprowadziła mnie do baraku, w którym było dużo kobiet i znów – jak w szpitalu w Brzegu – usłyszałam słowa skierowane do mnie w różnych językach, ale był i mój ojczysty więc dogadałyśmy się. Polka powiedziała mi, że ta Niemka wysypała z mojej torby maleńkie kartofelki, bo chciała mi dać normalnych – dużych, żebym się najadła. Idąc ze mną nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego po drodze tak płaczę. Kiedy wszystko się wyjaśniło, było dużo łez i radości. Dostałam dużą torbę wypełnioną kartoflami, którą odniesiono mi prawie pod plac budowy. Powiedziano też, że mam przychodzić codziennie po kartofle.

Marysia i pani Milewska już się o mnie martwiły, kiedy mnie nie było, a Niemiec pilnujący nas przy pracy wciąż pytał, gdzie ja jestem. Powiedziały mu, że mam rozstrój żołądka i jestem w ustronnym miejscu. Jak mnie zobaczył kazał mi odpocząć, bo jestem chora. I tak przez kilka dni chodziłam po kartofle. Jednej soboty poszłam kupić do sklepu zupy w torebkach, żeby ugotować na budowie z kartoflami. Brała tam też jakaś Niemka chleb na kartki. W pewnym momencie odsunęła półtora-kilogramowy bochenek i coś powiedziała do sprzedawcy. On zaś – dając mi ten chleb – rzekł do mnie po polsku: „Ta dobra pani daje ci na niedzielę ten chleb, żebyś się najadła, więc podziękuj”. Podziękowałam bardzo uprzejmie, bo byłam bardzo spragniona pieczywa i wciąż chciało mi się jeść.

Trudno opisać jak dobrnęłam z tym chlebem do obozu. Stawałam chyba z dziesięć albo i więcej razy zastanawiając się, czy go zjeść i nie przyznać się Marysi i pani Milewskiej, że go dostałam czy może tylko ogryźć, ale taki wstyd byłoby przynieść. Poleciałam pędem, żeby mnie nie kusił i jakoś doniosłam cały. Na miejscu opowiedziałam całą historię z Niemką i o tym, jak bardzo chciałam zjeść chleb po drodze, a Marysia i pani Milewska śmiały się i płakały. Zjadłyśmy zaraz połowę, a drugą zostawiłyśmy na następny dzień, czyli na niedzielę. W nocy jednak nie mogłyśmy zasnąć, więc wstałyśmy i zjadłyśmy całą resztę. A potem spokojnie usnęłyśmy.

W późniejszym czasie było mi za daleko chodzić z pracy po kartofle, więc znajome panie same przynosiły mi co zebrały z pola. Przyniosły mi też dużo innej żywności i ubranie, ale mnie już tam nie było. Z płaczem oddały wszystko Marysi. Mnie w tym czasie zabrała do siebie jako pomoc domową żona komendanta obozu. Chodziła po salach i wszystkich oglądała aż upatrzyła sobie mnie, z czego byłam bardzo niezadowolona, bo musiałam się rozstać z Marysią i panią Milewską. Rozstanie było dla mnie bardzo smutne.

W nowym miejscu pracy może było lepiej, bo dawano mi jeść trzy razy dziennie, ale jedzenie nie było już najważniejsze. Tęsknota wyciskała mi łzy z oczu. Praca mnie nie przerażała – sprzątałam, prałam, cerowałam, robiłam wszystko co mi kazali myśląc, że może w nagrodę zaprowadzą mnie do Marysi i pani Milewskiej. Ale nic z tych rzeczy. Wciąż mnie o coś pytali, ale nic im nie opowiadałam do momentu przyścia ich syna w odwiedziny. On okazał się bardziej wyrozumiały. Może dlatego, że był w wojsku, a dom odwiedzał dwa razy w tygodniu. Kiedy przyszedł pierwszy raz ja już od prawie tygodnia tam byłam. Wypytywał matkę jak mi tu u nich jest, a potem powiedział jej, że ja nic nie jestem winna, że jest wojna i żeby nie kładli mnie spać w przedpokoju na podłodze. Ja tak bardzo się bałam ciemności, że całe noce ze strachu nie mogłam usnąć w tym ciemnym przedpokoju.

Naszykowany już był podwieczorek – w pokoju dla nich, w kuchni dla mnie. Była szarlotka i kawa z mlekiem. W pewnej chwili przyszedł do kuchni ich syn, zabrał talerz i szklankę z kawą i postawił na stole w pokoju. Już myślałam, że nie dadzą mi tego i chociaż wstydziłam się łakomstwa, żalowałam że nie zjadłam od razu jak tylko mi dali. Ale w pewnym momencie wszedł do kuchni ich syn, wziął mnie za rękę i powiedział po polsku, że w kuchni jedzą tylko kopciuszki. Łzy zakreśliły mi się w oczach. Zaprowadził mnie do pokoju i wskazał miejsce, gdzie od teraz mam być siedziała przy stole. Spać miałam w łóżku w jego pokoju. Kupił specjalnie słownik niemiecko-polski, żeby się porozumieć ze mną i stąd się dowiedziałam, że już nie będę drżała ze strachu w przedpokoju. Bardzo się cieszyłam, że wśród wrogów są i ludzie z takim sercem, co pozwalało mi tam przetrwać nawet najgorsze chwile.

Wizyty syna tych Niemców stały się rzadsze, gdyż coraz częściej bombardowano Wrocław. Dom, w którym mieszkałam u Niemców, był w samym centrum miasta przy ul. Dickutstrasse 8. Był już listopad, kiedy bardzo się rozchorowałam na nerki. Leżałam z wysoką gorączką oczekując wizyty lekarza. Gospodyni domu, u której mieszkałam i pracowałam przyszła do mnie z życzeniami, bo był 7 listopada – dzień moich urodzin. Dała mi do ręki ładną gromnicę i chusteczki do nosa. Nie miałam pojęcia o co chodzi z tą gromnicą, bo przecież u nas daje się ją konającym. Potem pomyślałam, że pewnie umrę i zaczęłam płakać. Żal mi było po tylu przeżyciach skończyć bez pomocy. Ale znów w czasie wizyty syna gospodyni wyjaśniło się, że lekarz przyjdzie do mnie, a ofiarowanie gromnicy w dzień urodzin jest tam ogólnie znanym zwyczajem. Jak mu wytłumaczyłam, z czym skojarzyłam świecę i moją chorobę, to wszyscy śmiali się ze mnie.

Pewnej nocy obudziło mnie straszne bombardowanie. Wyszłam do przedpokoju i stwierdziłam, że jestem sama w trzypokojowym mieszkaniu na drugim piętrze i w dodatku zamknięta na klucz. Wyszłam więc na balkon, uklękłam i gorąco się modliłam, żebym ocalała, bo wokoło wszystko się paliło i wciąż słychać było wybuchy bomb. Już mi nawet przychodziło do głowy, żeby wyskoczyć z balkonu, ale nie miałam odwagi, bo było zbyt wysoko. W pewnej chwili usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Dopadłam do drzwi zapłakana i bardzo wystraszona, prosto w objęcia gospodyni. Ona też płakała tłumacząc mi, że ze strachu zupełnie o mnie zapomniała i tylko z mężem uciekli do schronu.

W miarę zbliżania się frontu gospodyni coraz częściej wspominała, że niebawem zostanie oddana do obozu. I wreszcie nadszedł ten dzień. Niemka jednak na tyle przyzwyczaiła się do mnie, że oddając mnie do obozu bardzo płakała przy rozstaniu. Dostała spazmów. Nie lubię takich rozstań, więc też się popłakałam, ale zaraz się pocieszyłam, bo znów byłam z Marysią Rykiel i panią Milewską. Długo nie byłyśmy razem – tylko dwa dni. Potem jakaś „folksdojczka” zabrała mnie do Katowic. Wydaje mi się, że ona tylko udawała, że jest po stronie Niemców, bo wywoziła dzieci z obozów i umieszczała w polskich rodzinach. W ten sposób łatwiej mogła pomóc rodakom.

W Katowicach nikt na mnie nie czekał, bo byłam ponadplanowo wywieziona z obozu. Wobec tego pozostałam przez trzy dni u koleżanki „folksdojczki”, dopóki nie postarała się o miejsce w polskiej rodzinie. Zawiozła mnie do Sosnowca. Po wejściu do mieszkania od razu byłam bardzo serdecznie przyjęta. W rodzinie, do której trafiłam, było dwoje dzieci, ale mnie przyjęli jak własne – trzecie. Byli to Krystyna i Zygmunt Piechocy, a ich dzieci miały na imię Barbara i Maciej. Wszyscy otoczyli mnie miłością i serdecznością, okazując wiele współczucia z powodu moich przeżyć w tak młodym wieku.

W pokoju krawcowa uszyła dla mnie bieliznę nocną, bo nic prawie nie miałam. Było mi bardzo miło, że ktoś myśli o mnie. Rodzina ta pomogła mi przeżyć do wyzwolenia. Bardzo często ich wspominam chociaż nie mam z nimi kontaktu. Tam przeżyłam piękne miesiące i dopiero w maju 1945 roku ojciec zabrał mnie do Warszawy. Mój list otrzymał w samą porę, bo już miał pochować jako mnie jakąś dziewczynkę znaną w szpitalu św. Łazarza. Podobno mnie rozpoznał, ale jeszcze inni ludzie stwierdzili, że to ich córka.

Radość po odnalezieniu mojej rodziny była ogromna. Ale jeszcze w maju 1945 roku, wracając po tułaczce do swojej ukochanej stolicy, w drodze z Dworca Zachodniego zostałam zatrzymana przez oficera rosyjskiego i ograbiona ze skromnego dobytku. Zabrał mi wszystko co dali mi litościwi ludzie. Zostałam w bieliznie i jednej sukience. Płakałam i prosiłam, żeby mi oddał, ale on jeszcze strzelał za mną. Kula przeszła mi przez włosy, ale życie było mi przeznaczone od Boga więc żyję...